

„Nie wychowałem się w inkubatorze...”

Wywiad z Panem Mieczysławem Makarewiczem:

Co Pan pamięta z pierwszego okresu wojny?

- Wszyscy czekaliśmy na 1 września – pierwszy dzień szkoły, niestety okazał się pierwszym dniem wojny. Pięta kolumna podpaliła magazyny amunicji i broni. Okropny huk tego wybuchu, tych pocisków. Ogień utrzymywał się przez 8h. Chowaliśmy się po kątach, na szczęście odłamki nas nie dosięgły. W szkole, przed wojną, uczyli nas jak chronić się przed gazem, dlatego wiedzieliśmy, żeby powiesić na drzwiach i oknach mokre prześcieradła, koce.

15 września nadleciało dziewięć samolotów i zbombardowali most kolejowy na Dniestrze, akurat nad naszym domem nawracali. Mamy nie było, była na jakimś święcie, Matki Boskiej Zielnej bodajże, w kościele. Byliśmy przerażeni, takie bombardowanie to straszne przeżycie.

17 września usłyszeliśmy huk, szum, coś się tam działo. Na głównej szosie niecałe 2 km od nas Rosjanie jeździli czołgami, samochodami przez przynajmniej dwa tygodnie i nie szło przejść, a wojsko polskie później po tym wszystkim szło do Rumuni. Ukraińcy szukali broni po domach polskich, mojemu ojcu też zabrano jedną, taką od polowań – fuzję. Zaczęli rządzić. Między innymi w milicji samozwańczej byli Żydzi i Ukraińcy.

A jak zachowywali się Żydzi w stosunki do Polaków?

Żydzi mieli żal do Polaków o uprzykrzenie im życia przed wojną. Działo się tak z powodu ogromnej ilości Żydów w Polsce, mieli oni między innymi dużo sklepów, co stanowiło dla nas ogromną konkurencję. Przy takiej ich ilości nie mieliśmy szans. Właśnie dlatego chcieli się na nas odegrać. Do grudnia zaczęli aresztować pojedyncze osoby, nauczycieli, policjantów, osoby wykształcone, po cichu zabierali. Później Ukraińcy sporządzili listę Polaków, którzy mieli być zabrani do Rosji. 10 lutego 1940r. zabrali z naszej wioski osadników w okropnych warunkach, 6:00 rano zimą, strasznie rychło, pół godziny do zebrania się. Nikt nie był przygotowany, co się komu udało, to zabrali do wagonów i jechali do tej Rosji. Bez wody, bez jedzenia, bez niczego, napchani w tym wagonie. Jechali 2 tygodnie.

Jak wyglądały warunki życiowe w Pana miejscowości- Zabłociu?

Ludzie chorowali, nie było leków, nie mieli ciepłych mieszkań, nie było niczego. Rosjanie radzili jak zrobić, żeby się utrzymać, zrobili też tzw. kołchoz, najpierw pozabierali wszystkie zapasy zboża, wszystkie zwierzęta: krowy, kury, konie, nic nie można było mieć, oni dopiero wydzielali ile się każdemu należy. Moja mama nie podała do spisu kołchozu kawałka bardzo żyznej ziemi, nazywaliśmy ją "Czeresieńka". Sadziła tam ziemniaki i kukurydze. Któryś z Ukraińców podał, że to nie jest do kołchozu podane.

Spodziewaliśmy się najgorszego! Na całe szczęście przewodniczący kołchozu mówił: "W żadnym wypadku nie wolno im zabierać ziemi, ta rodzina jest bardzo w porządku, a ja traktorem do góry nie pojedę, dobrze, że chociaż trochę chleba tam się zachowało." Na wszelki wypadek kazali nam się rozsypać po krewnych, żeby nie było śladu, że nas nie zabrali. Przewodniczący kołchozu opowiadał mamie, że on tu nie przyszedł, aby tu się coś urodziło, tylko zniszczyć. Na Ukrainie w latach 30-tych 8 mln ludzi zmarło z głodu na żyznej ziemi.

Co się działo później?

Ukraińcy jak szli na wschód mordowali ludzi, robili tzw. „czerwone noce” - palili całe wioski. Bydło ryczało, świny kwiczały, bo to wszystko paliło się żywcem. Zwierząt nie oszczędzili. I mordowali Polaków, po prostu palili żywcem. Dużą część wymordowali, niewielka część uciekła.

Pan też uciekł z rodziną?

Nie od razu. Przychodził do nas taki Ukrainiec ze Stanisławowa przynosił różne rzeczy tj: ciuchy, jajka czy masło.. Często przyjeżdżał i mówił tak:

- Nie macie szans tu zostać, bo mają wyczyścić całkowicie czy dobry Polak czy zły. Wszyscy muszą zginąć. Jedźcie do miasta.

Wtedy jeszcze pociągi szły, to wzięliśmy wszystko co się dało. Szliśmy na dworzec a na tym dworcu nie wpuścili nas do pociągu. Maszynista kiwnął:

-Chodźcie tu!

I wskazał nam miejsce przed maszyną. Zajechaliśmy do miasta-Stanisławowa, ale wyglądaliśmy gorzej niż murzyni, byliśmy cali ubrudzeni sadzą.

Jak pan zdobył jedzenie na drogę?

Zrobiłem zapalniczkę z łusek po nabojach. Poszliśmy na dworzec między wagony. Ruscy przeładowywali konserwy z szerokich torów na wąskie. Wziąłem tę zapalniczkę dmuchnąłem i tupnąłem w ziemię. Nagle jeden mówi:

- Zarzygałka (zapalniczka) sprzedasz?

A ja mówię:

- Owszem, zamienię na konserwy.

- Ile chcesz?

- Trzy.

- Nie jedna tylko.

- Dobra i jedna.

Ale jeden mówi:

- *Choć pomożesz nam przetrwać.*

Po cichu powiedział mi, że mam na środku kładki upuścić tą skrzynię i wtedy mogę coś tam zebrać. Byłem wtedy z bratem.

Ta skrzynka się rozleciała. Szybko tą skrzynkę składałem i buch na bok, buch na bok. Osiem konserw się uratowało a brat zaraz wziął wynosił. Ściągnął spodnie tak jak by się załatwiał, siedział na nich bo jak by ludzie zobaczyli zaraz by porwali, trzeba było kombinować.

Jak sobie poradziście w tych nowych warunkach?

Nasz ukraiński przyjaciel znalazł tam dla nas mieszkanie po Żydach. Pracował w portierni. Pamiętam, że dawał nam ciuchy, żebyśmy sprzedali je na targu, w zamian za masło i jajka.

W zamian codziennie przynosiliśmy mu śniadanie.

Czy w mieście działy się straszne rzeczy?

Nie tak często jak na wsi. Byłem świadkiem jak wywozili Żydów z sąsiedztwa. Niemieccy oficerowie ustawili nas wtedy w rzędzie – chłopaków i kazali zdjąć spodnie, sprawdzali czy jesteśmy obrzezani. Zakazano nam opuszczać dom i wtedy wiedzieliśmy już co nas czeka. Nie zwlekając przeszliśmy przez strych do innej klatki. Na pierwszym piętrze był mały otwór, jakby ktoś miał tam kiedyś skrytkę. Szybko zeszliliśmy przez okienko po kablu telefonicznym i udaliśmy się do stajni, gdzie spokojnie przeczekaaliśmy. Wieczorem wróciliśmy do domu.

Co działo się z pańską rodziną po wyzwoleniu?

Do mojej mamy przyszli Rosjanie, aby nakłonić ją do przejścia na obywatelstwo ruskie. Ona nie chciała się na to zgodzić i tłumaczyła, że jest Polką. Ta postawa bardzo ich zdenerwowała i zaczęli nachodzić nas nawet w nocy. Trwało to tydzień, a po tym oznajmili, że jeśli mama nie zmieni zdania, to mamy udać się na zachód. Byliśmy na to chętni, bo tam nie było już tylu Ukraińców, a tutaj cały czas mordowali Polaków.

Pana mama się zgodziła?

Tak. Podpisała dokument o wyjeździe, małą niebieską karteczkę, na której były nazwiska i daty urodzenia. Zamknęliśmy mieszkanie i udaliśmy się na dworzec, gdzie spędziliśmy tydzień pod gołym niebem. Panowały tam straszne warunki pogodowe, a na dodatek zachorowałem na zapalenie stawów. Tak mnie strasznie bolały nogi, okropnie jak chciałem się obrócić, to musiałem nogę w rękę wziąć i przestawić jedną a potem drugą. Wzięli mnie na budkę gdzie było ciepło i mnie już tak nie bolały. Później wagony przyszły i wszyscy zaczęliśmy wchodzić. Mama postarała się mi o skrzynkę od konserw i ja na tym siedziałem. Jak oficer NKWD przyszedł to wyrwał ją i wyrzucił na plac, poczułem ból i zacząłem płakać. Ale nic, ruszył pociąg i akurat nocą jechał przez las gdzie było największe skupisko groźnej bandy i żeby się nic nie stało wszyscy musieli milczeć w wagonie, bo to były węglarki nie jakieś wagony. Węglarki bez

siedzenia niczego napchane tak i koniec. Jakoś żeśmy dojechali do Lwowa tam było już znacznie bezpieczniej.

Jak przebiegała dalsza podróż?

Przyjechaliśmy do Katowic. Panował tam straszny głód. Myśmy dostali po jednym chlebie na rodzinę, ale jakoś się tam utrzymaliśmy. Później dojechaliśmy do Ostrowa, patrzymy a w polu są stogi ze zbożem. Na pociągu, na wagonie ziemniaki i myślę sobie:

- Oj tutaj nie ma tej biedy, tego głodu.

No to wtedy brat najmłodszy wskoczył na ten wagon i za pazuchę włożył sobie parę, ale co miał zrobić z tymi ziemniakami? Nie ma na czym ugotować. Na surowo żeśmy jedli z głodu, później takie rozwolnienie, że szkoda mówić. A to co przeszliśmy na wschodzie, te choroby to mieliśmy naprawdę wszystkie jakie były: czerwonka, świerzb, wrzody, strupy na głowach, to był brak witamin, bo nie było co jeść i ludzie z głodu umierali. Myśmy mieli takie szczęście, że kwaterowało nas dziewięć Ruskich pracujących na poczcie. Jeden taki starszy z Moskwy Powar (kucharz) wcześniej wracał z pracy i gotował obiadowe kolacje, więc dla nas zawsze zostawiał.

Czy pamięta pan jak dostał się do Jarocina?

W nocy mieliśmy jechać za Poznań a pociąg zaczął manewrować w prawo w lewo. Nad ranem patrzymy Środa, my już przez środę jechaliśmy. Zatrzymujemy się w Jarocinie i tam wyskakujemy. Tu były baraki, byliśmy w nich prawie miesiąc, później poszliśmy do Prus i tam zostaliśmy razem z wujem. Niestety tak się stało, że wuj nas wykiwał, przez co powędrowaliśmy do Wojciechowa. Tam zamieszkałem, ożeniłem się i poszedłem do szkoły zawodowej w Głogowie, ponieważ w Jaraczewie zlikwidowali. Dyrektor szkoły z Nowego Miasta, Draben się nazywał, przyjął mnie do szkoły, a później do pracy. Tam pracowałem w technicznej obsłudze rolnictwa.

Czy wszyscy z pańskiej rodziny przeżyli?

Na całe szczęście tak. Było nas siedmioro i wszyscy przeżyli. Brat to nawet z Armią Czerwoną doszedł do Berlina i nic mu się nie stało.

Co Pan robił po wojnie?

Długo by było opowiadać...Miałem ciekawe życie!

Wywiad przeprowadziła i spisała grupa uczniów z Zespołu Szkół w Wilkowyi, Eliaz Bartkowiak, Izabela Bartolik, Monika Fabisch, Marcin Raczkiewicz, pod opieką pana Łukasza Piechockiego.



Mieczysław Makarewicz i Łukasz Piechocki